

Marek Benio, Rafał Dutkiewicz

Wywiad z Prezydentem Wrocławia Rafałem Dutkiewiczem

Zarządzenie Publiczne nr 7 (1), 83-88

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wywiad z Prezydentem Wrocławia Rafałem Dutkiewiczem

Marek Benio: Panie prezydencie, ponieważ jest pan entuzjastą samorządu lokalnego i samorządności, zacznijmy od pytania: co panu utrudnia pracę? Jakie są najważniejsze przeszkody spośród tych, które napotyka pan w zarządzaniu miastem? Ponieważ pytanie jest ogólne, proszę podzielić te przeszkody na polityczne, finansowe i natury społecznej.

Rafał Dutkiewicz: Zacznę od tego, że oczywiście jestem zwolennikiem samorządności, ale znacznie bardziej podoba mi się angielski termin *local government*. Uważam, że lepiej oddaje istotę rzeczy niż „samorządność”. Co więcej, „samorządność” jest mylnie używanym terminem; w gruncie rzeczy chodzi o lokalne zarządzanie, a nie o samozarządzanie. System nie polega na tym, że obywatele sami zarządzają, tylko wyłaniają w drodze wyborów swoich przedstawicieli lokalnych. Ale to jest uwaga na marginesie. Jestem zwolennikiem samorządności, ponieważ wierzę w systemy zdecentralizowane. Tak dużymi organizmami jak państwo polskie nie da się zarządzać w sposób scentralizowany. Chcąc zarządzać w sposób zdecentralizowany, trzeba się podzielić kompetencjami.

M.B.: Czy miasto nie jest również ogromnym organizmem, którego zarządzanie także wymagałoby decentralizacji? Gdyby wysilić się na karłowate porównanie zarządzania miastem do zarządzania wielką firmą, to nie ma tak dużej firmy działającej na tak niewielkim terenie jak miasto.

R.D.: Porównania z firmami są zawsze trudne, ale w jakimś sensie można je porównywać. Nadal poruszamy kwestie marginalne, ale mnie się wydaje, że w sensie zarządczym w Polsce dobrze ustrojowo uporządkowano sprawę, powierając dość duży zakres władzy wykonawczej bezpośrednio wyłanianym wójtom, burmistrzom i prezydentom. To rozwiązanie przynajmniej w części odciąża tych zarządców od napięć o charakterze czysto politycznym. A jak wiadomo, takie napięcia potrafią być silnym hamulcem. Gdyby szukać analogii z korporacjami,

to oczywiście wszędzie obowiązuje zasada, że nie da się zarządzać zbyt wieloma sprawami. Osób, na które deleguje się zadania, nie powinno być więcej niż siedem, jak najczęściej podają podręczniki do teorii zarządzania. Czy w korporacji, czy w zarządzaniu miastem musi tu być podobnie. W mieście oczywiście jest znacznie większy nacisk na kontakt z osobą wyłonioną w wyborach powszechnych na stanowisko wójta, burmistrza, prezydenta. Trudno zatem obronić model kontaktowania się wyłącznie z „siódmką”. Równocześnie miasto to organizm społeczny i w związku z tym poddawane jest innego rodzaju ocenom. System ocen w przedsiębiorstwie jest prostszy; mówimy o wynikach mierzalnych bądź to pieniędzmi, bądź wydajnością pracy. W takim tworze jak miasto inaczej się kształtują kryteria ocen.

Wróć jednak do przeszkód w zarządzaniu. W wypadku Polski mamy do czynienia ze stosunkowo prawidłowo ukształtowanym systemem, ale istnieją naturalnie bariery. Pierwsza, oczywista, o której wstyd mówić po 20 latach od obalenia komunizmu, to bariera infrastrukturalna: sieć drogowa, kolejowa, a mówiąc ogólniej – komunikacja i telekomunikacja. To jest niezwykle silna bariera rozwojowa. Druga bariera jest barierą mentalną. Polska jest mentalnie krajem scentralizowanym. Jesteśmy państwem unitarnym, czego nie kwestionuję. Natomiast mentalnie jesteśmy państwem scentralizowanym. Ja kocham Warszawę, ale wszyscy jesteśmy w złym sensie tego słowa warszawocentryczni. Od bardzo dawna, z jedynym wyjątkiem rządu, którego wicepremierem był Jerzy Hausner i który próbował rządzić przez stwarzanie warunków do pracy, a nie przez dyrektywne zarządzanie, rządy polskie utrzymują styl zarządzania dyrektywnego. Czasem, na domiar złego, wykorzystuje się machinę państwową nie do celów państwowotwórczych, lecz do realizacji celów partii rządzących.

Kolejną barierą jest upolitycznienie samorządów. Objawia się to w pokusie, by na poziomie

samorządów regionalnych i lokalnych odzwierciedlić dominujący układ partyjny przeniesiony z centrum. Jest to bariera dlatego, że takie upartyjnione samorządy, a dotyczy to głównie rad gminnych, stają się nośnikami opinii i interesów nie swoich wyborców, obywateli, lecz decydentów partyjnych. Spory dotyczą wówczas nie spraw istotnych dla mieszkańców, lecz dla partii. Abstrahując od tego, czy mieszkańcy są w stanie ocenić, co leży w ich interesie, to nawet jeśli mają zły ogłód całości, z całą pewnością są do tego bardziej uprawnieni niż przywódcy partii politycznych. Mieszkańcy w pewnym sensie „wynajmują” swój samorząd. Tymczasem prawdziwym decydem czy też prawdziwym „lustrem” dla ciał kolektywnych w samorządach nie są wyborcy, tylko, w najlepszym wypadku, powiatowe komitety partii.

M.B.: Czy w ręku prezydenta miasta, a więc na poziomie samorządu lokalnego, są jakieś instrumenty, by te najważniejsze bariery pokonywać?

R.D.: Dołożymy jeszcze jeden problem. Wydaje mi się, że z kadencji na kadencję samorządy są coraz mniej obywatelskie, są w coraz mniejszym stopniu reprezentatywne. Przed tym problemem braku reprezentatywności można się bronić na poziomie lokalnym, budując pewne procesy i projekty obywatelskie. Najtrudniej jest przeciwdziałać infrastrukturalnej nieudolności państwa polskiego. Mój wpływ na to, by powstała droga do Poznania jest minimalny – mój głos jest wysłuchiwany, ale w sensie pragmatycznym, podjęcia decyzji o budowie i realizacji takiej inwestycji – prawie żaden. Po Hausnerze nikt w Polsce nie próbował myśleć całościowo. Wyjaśnię o co mi chodzi. Czego ja bym oczekiwał od rządu? Rząd powinien powiedzieć, że Polska jest krajem, w którym wszystkie miasta powyżej 300 tys. mieszkańców mają obwodnicę. W miastach, w których są tramwaje, powinny one obsługiwać całą aglomerację. Niestety, dokonanie rozstrzygnięć aglomeracyjnych przekracza moje kompetencje. Od tego jest rząd i parlament. W Polsce nikt, z wyjątkiem Hausnera, nie myślał o tych sprawach, standaryzując je. Podam inny dobry przykład ilustrujący to, o co pan pyta. Wszystkie duże miasta w Polsce są zakorkowane. Mieszkańcy i przyjezdni są z tego słusznie niezadowoleni. Mieszkańcy w naturalny sposób

kierują swe pretensje do burmistrza, prosząc go o rozwiązanie problemu. Tymczasem przekracza to możliwości samorządu. Potrzebne jest tu rozstrzygnięcie o charakterze finansowo-ustrojowym: albo trzeba dać burmistrzom takie kompetencje i uprawnienia finansowe, by byli w stanie rozwiązać ten problem, albo trzeba pomóc rozwiązać ten problem za pomocą ustanowienia standardów. Korków nie da się wyeliminować, ale przy odpowiednich instrumentach zarządczych i finansowych można złagodzić ich uciążliwość przez transport zbiorowy, budowę obwodnic itd., pod warunkiem, że będzie to standard.

M.B.: Czy to oznacza, że samorządy (zwłaszcza gminny) obarczone nieproporcjonalną do ich możliwości finansowych i zarządczych ilością zadań publicznych? Czy, w związku z „warszawocentricznością”, o której pan wspominał, po każde środki i każdą decyzję trzeba telefonować do Warszawy?

R.D.: Nie, tak źle na szczęście się nie dzieje, choć prawdą jest, że w wielu przypadkach środki są dzielone centralnie i „po uważaniu” i jest to błąd systemowy. Na przykład, jak wiadomo, drogi dzielą się na gminne, powiatowe, wojewódzkie, krajowe. Część dróg niższego szczebla buduje się ze środków własnych i są dwa rodzaje konkursów centralnych. Powiedzmy, miliard złotych dzieli na takie drogi w skali całego kraju Ministerstwo Infrastruktury, a miliard czy dwa dzieli premier Schetyna i tak powstają słynne „schetynówki”. Po pierwsze, nie rozumiem, dlaczego się nie łączy tych funduszy albo jeszcze lepiej – dlaczego nie oddaje się ich samorządom, a gdy już się dzieli środki, to dlaczego nie uwzględnia się gęstości dróg, tylko rozdziela się po równo na każde województwo? Ten przykład prowadzi do wniosku, że w Polsce błędnym rozwiązaniem są powiaty. Uważam przy tym, że mamy w Polsce dobrą, kompetentną klasę starostów, a więc moja uwaga o powiatach nie odnosi się do starostów, ale powiaty są błędnym rozwiązaniem. Jest to niepotrzebny element systemu, kosztujący sporo pieniędzy i niewyposażony we własne środki, w większości realizujący zadania zlecone. Powiaty są za małe i przypominają koncepcję XIX-wieczną. Koncepcja regionów też jest ułomna, ponieważ jest kompromisem, który doprowadził do zbyt dużej ilości regionów. Początkowo projektowana liczba 10–12 była-

by dużo lepsza. Niejasny jest też podział kompetencji pomiędzy wojewodą i marszałkiem. Nie jest prawdą, że tego się nie da dobrze rozwiązać. Na przykład w Czechach kompetencje wojewody i marszałka są skupione w jednym urzędzie – hetmana. Nie jest prawdą, że marszałkowi nie da się powierzyć zadań państwowych, skoro powierza się takie zadania starostom. Ponadto niewiele osób wie czym się zajmuje wojewoda, a czym marszałek. Stanowiskiem silniej utrwalonym w świadomości jest wojewoda i w związku z tym wydaje się osobą ważniejszą, a kolejne rządy zamiast obniżać kompetencje wojewody, cały czas je utrwalają, łącznie z Platformą Obywatelską, która zadeklarowała ograniczenie jego kompetencji (zaraz do tego wróć, ilustrując ciekawym przykładem). Albo trzeba było wybrać model czeski, który by się w Polsce przyjmował z oporami, albo model francuski, gdzie rola przedstawiciela państwa, którym jest prefektur jest zredukowana, a terytorialnie prefektury i regiony się nie pokrywają; w każdym regionie jest kilku prefektów. To pozwala uniknąć tak silnej rywalizacji. Tymczasem w nasz system jest wpisany konflikt pomiędzy wojewodą a marszałkiem. Stąd biorą się smutne nieporozumienia: np. niektóre kompetencje w zakresie ochrony środowiska miały przepływać od wojewody do marszałka, a jesteśmy bliscy osiągnięcia zabawnego efektu: wydział ochrony środowiska u wojewody miał być przeniesiony do marszałka. Większość rzeczywiście przeniesiono do marszałka, ale wojewodowie pozostawili sobie małe biura kontrolujące marszałka – to daje już dwie instytucje zajmujące się tym samym, a przy okazji przenoszenia Ministerstwo Ochrony Środowiska utworzyło jeszcze swoje przedstawicielstwa. W miejsce jednego wydziału ochrony środowiska są teraz trzy. To jest złe zarządco rozsiewanie kompetencji połączone z rozbudowywaniem kosztownej administracji, które w dodatku nie prowadzi do decentralizacji. Tendencja ta jest pochodną pewnych mentalnych barier. Rząd musi mieć przedstawiciela w terenie i ma do niego więcej zaufania niż do władzy samorządowej i w związku z tym nawet przekazując kompetencje, zachowuje dla swojego przedstawiciela funkcje kontrolne, a równocześnie właściwy minister nie ufa ani przedstawicielowi rządu w terenie, ani marszałkowi

i tworzy swoją strukturę. To jest pochodna myślenia centralistycznego.

M.B.: Jak z tym walczyć? Czy ten problem mentalny dotyczy tylko elit politycznych czy całego społeczeństwa?

R.D.: Problem dotyczy całego społeczeństwa, ale w przypadku nie tyle elit politycznych, ile osób zaangażowanych w działalność publiczną występuje dodatkowy problem. Polska jest napędzana personalnie grupą osób, które zaangażowały się w działalność publiczną mniej więcej 20 lat temu. W naturalny sposób te osoby się podzieliły 20 lat temu: część z nich trafiła do władz centralnych, czyli do parlamentu i do rządu, a część do samorządów i to są prawdę powiedziawszy dwie oddzielne grupy, między którymi są rzadkie przepływy. Te grupy się wzajemnie nie rozumieją: tamci nie mają żadnych doświadczeń samorządowych, a my z kolei nie mamy żadnych doświadczeń w zarządzaniu centralnym. Być może receptą byłoby włączenie samorządów w proces tworzenia prawa, w którym samorządy w zasadzie nie uczestniczą. Prawo jest przygotowywane przez rząd, a stanowione przez parlament. Gdyby Senat mógł być izbą samorządową, w jakimś sensie, być może lepiej kształtowałby się ten dialog między władzą centralną i samorządową.

M.B.: A czy nie wystarczy powierzyć inicjatywy ustawodawczej samorządom albo związkom samorządowym?

R.D.: Proszę bardzo, tylko to musi być ustrojowo usytuowane, a nie tak jak chce prof. Kulesza, którego bardzo cenię, ale z którym się nie zgadzam w tej sprawie; On mówi, że wystarczy się skrzyknąć i utworzyć silne lobby. W Polsce to tak nie działa. Związek samorządowy musi mieć ustrojową prerogatywę do inicjatywy ustawodawczej. Senat jako izba „samorządowa” wydaje mi się lepszy, ale inicjatywa ustawodawcza po stronie związków samorządowych też może być skutecznym rozwiązaniem.

M.B.: Przejdźmy do kwestii społecznych i socjalnych. Pańska książka *Nowe horyzonty*, opublikowana trzy lata temu, a więc w okresie wzmożonej emigracji zarobkowej Polaków, porusza kwestię instrumentów oraz warunków, jakie należałoby stworzyć dla zatrzymania w Polsce lub zachęcenia do powrotu ludzi młodych, dobrze wykwalifikowanych. Czy w związku z tym, że ilość miejsc pracy dla Polaków w Europie

Zachodniej zmniejszyła się m.in. wskutek kryzysu, samorządy mają w tej kwestii jakąś rolę do wypełnienia?

R.D.: Sprawdza się to o czym pisałem, tzn. spora część Polaków wraca po kilku latach. Jest to wyzwanie stojące przed naszym krajem. W związku z tym, że granice są otwarte, mamy powód od radości, ale z drugiej strony tak jak burmistrz Berlina musi się starać, by Berlin był atrakcyjnym miejscem do zamieszkania i do pracy, tak ja muszę się starać, by Wrocław był atrakcyjnym miastem. A rząd polski musi mi pomagać w tym, by Polska była atrakcyjna. W tym sensie okrzyk Premiera Marcinkiewicza „yes, yes, yes!”, gdy otwarto rynek pracy Hiszpanii, był odpowiedzią połowiczną. Należy się cieszyć, że nam się nie stawia granic, ale trzeba również spowodować, aby rynek pracy w Polsce wzrastał, nawet tak, żeby Hiszpanie chcieli przyjeżdżać do nas do pracy. Jesteśmy na dobrej ścieżce do tworzenia miejsc pracy w ogóle (abstrahując od chwilowego kryzysu), ale nie mam przeświadczenia, że jesteśmy wystarczająco atrakcyjni jeśli chodzi o polską elitę, że polscy naukowcy zostaną na polskich uczelniach, że najlepsi inżynierowie znajdują pracę w polskich firmach. Potencjał jest bardzo duży – trochę wykraczamy tu poza sferę samorządów. Jeśli chodzi o młodych ludzi wykształconych w sferze *science and technology*, to procentowo młodych ludzi w Polsce jest najwięcej, ale ilość patentów rejestrowanych w Polsce jest najmniejsza. Czyli problem tworzenia miejsc pracy został w Polsce jakoś tam rozwiązany, ale przypuszczalnie nie potrafimy wykorzystać tego potencjału. Nie mamy pracy dla najlepszych. Nie mamy najlepszych uczelni, nie mamy najlepszych ośrodków badawczo-rozwojowych itd.

M.B.: Czy to wynika z braku aspiracji, czy z zaległości podobnych do tych w sferze infrastruktury?

R.D.: Polacy mają wysokie aspiracje, ale rządzący są mało aspirujący – aspirują jedynie do sprawowania i utrzymania władzy. Na przykład to, że organizujemy Euro 2012, nie jest wynikiem starań rządzących. Polacy mają wysokie aspiracje – chcieliby mieć euro, autostrady i dostęp do internetu, ale rządzący nie potrafią sprostać tym aspiracjom przez tworzenie warunków do ich realizacji, ponieważ zainteresowani są czym innym.

M.B.: Polskie społeczeństwo się starzeje. Dramatycznie niskie wskaźniki dzietności, również dla Wrocławia nieprzekraczające 1,3, spowodują w długiej perspektywie kurczenie się rynku pracy przy jednoczesnym wzroście liczby osób starszych. Chciałem zapytać o kwestię związaną z tym zjawiskiem, a pominiętą w Pańskiej książce, a mianowicie o kwestię imigracji zarobkowej na lokalne rynki pracy, na co wszak samorządy mają pewien wpływ. Nie wierzę w napływ Hiszpanów do pracy w Polsce, ale co pan sądzi o otwarciu polskiego rynku pracy dla mieszkańców Ukrainy, Białorusi, Rosji czy krajów nadbałtyckich?

R.D.: Ja bym otworzył polski rynek pracy dla imigrantów z krajów położonych na wschód od Polski natychmiast. Nie obawiałbym się, że imigranci ci zabiorą Polakom ich miejsca pracy, bo w Polsce jest niesłychanie niski wskaźnik zatrudnienia (ok. 54%), a mimo to przedsiębiorcy potrzebują rąk do pracy. Nie obawiałbym się też animozji o podłożu nacjonalistycznym, bo szczególnie imigranci zza naszych wschodnich granic są nam najbliżsi kulturowo.

Chciałbym jednak nawiązać do niskiego wskaźnika dzietności i pokazać na tym przykładzie to centralistyczne myślenie, o którym wcześniej rozmawialiśmy. Samorząd odpowiada za sieć przedszkoli. Do wrocławskich przedszkoli chodzą dzieci z Wrocławia, co jest finansowane z kieszeni wrocławskich podatników, ale równocześnie do wrocławskich przedszkoli tylko w tym roku zostało zapisanych 1500 dzieci z gmin okolicznych. Ja nie mam żadnego skutecznego wpływu na to, by w okolicznych gminach powstawały przedszkola – mogę jedynie apelować. Gdy proszę wójtów, by sfinansowali pobyt dzieci z ich gmin we wrocławskich przedszkolach, to oczywiście odmawiają. Jest to problem, który ma charakter aglomeracyjny i musi być rozwiązany ustrojowo. Doraźnie problem polega na tym, że mamy za dużo dzieci w przedszkolach, a z drugiej strony powinniśmy usuwać bariery do tego by młodzi rodzice chcieli mieć dzieci. Brak miejsca w przedszkolu nie może być barierą do powiększenia rodziny. Przepis rozporządzenia mówi, że do jednego oddziału przedszkolnego nie może uczęszczać więcej niż 25 dzieci. Co to znaczy „uczęszczać” – być zapisanych (tak interpretuje to Ministerstwo), czy faktycz-

nie w danym dniu przyjść do przedszkola? Otóż nigdy wszystkie zapisane dzieci nie przychodzą do przedszkola. Absencja jest stosunkowo wysoka. Aby ten doraźny problem rozwiązać, prosimy Ministerstwo, by pozwoliło nam na naszą odpowiedzialność zapisać 27 dzieci. Ministerstwo się na to nigdy nie zgadza. To jest przykład centralistycznych rządów, które nie dbają o to, że jest ponad 1000 dzieci czekających w kolejce do przedszkola. Oczywiście samorząd będzie zakładał nowe przedszkola, ale gdyby ministerstwo podeszło do problemu nieco bardziej elastycznie, to doraźnie rozwiązałibyśmy problem.

M.B.: Jak pan postrzega rolę samorządu w rozwiązywaniu podobnych problemów za pomocą oddolnych inicjatyw obywatelskich? Na przykład: rodzice kilkorga dzieci są gotowi zatrudnić wspólnie wykwalifikowanego nauczyciela przedszkolnego i wynająć lub udostępnić lokal, a od samorządu oczekują tylko informacji, jak to zrobić organizacyjnie, by nie łamać prawa.

R.D.: Takie inicjatywy wspieramy we Wrocławiu, ale tu również musieliśmy długo czekać na złuzowanie przepisów sanitarnych w uruchamianych w ten sposób ochronkach. Szczęśliwie tu rząd pomógł. Tu jednak widać inny problem natury ogólnej – w Polsce wszystko musi być uregulowane przepisem, na wszystko musi być paragraf. Nadmierna regulacja udaremnia często takie inicjatywy.

M.B.: Przejdźmy od przedszkoli do szkół. Zadaniem gmin jest prowadzenie szkół podstawowych i gimnazjów. Jak pan prezydent ocenia ten system edukacji?

R.D.: Uważam, że podział szkolnictwa podstawowego, gimnazjalnego i ponadgimnazjalnego na 6/3/3 był zły, ale teraz absolutnie bym się z niego nie wycofywał. Problem leży raczej w tym, że programy w tych szkołach się powtarzają. W każdej z tych szkół usiłuje się zrealizować pełen program nauczania. Program niegdyś realizowany w 8 lat i następnie w 4 lata teraz usiłuje się zrealizować w 6 lat, następnie w 3 lata i następnie w 3 lata. Ministerstwo chyba powoli pracuje nad tym, by program gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych rozbić na dwa etapy. Docelowo będą więc dwa cykle 6 i 6 lat. Dzieci w gimnazjum przerabiają całą historię od początku do końca i potem w liceum robią to samo. Na II wojnę światową nigdy nie starcza czasu.

M.B.: Czy samorząd ma jakiś wpływ na programy nauczania?

R.D.: Niewielki...

M.B.: A czy we Wrocławiu istnieje jakieś miejsce, w którym sygnały płynące z rynku pracy na temat potrzebnych kwalifikacji zawodowych spotykają się z autorami programów nauczania? Czy jest jakiś przepływ informacji, zwłaszcza między rynkiem pracy a szkołami ponadgimnazjalnymi – szkolnictwem zawodowym?

R.D.: Rynek pracy jest dość wnikliwie monitorowany. Dane zbierane są niestety w różnych miejscach – część ma Urząd Pracy, część nasz Wydział Rozwoju Aglomeracji Wrocławskiej, część Wydział Edukacji. Od pewnego czasu realizujemy taki projekt monitorowania tych danych i wyciągamy z nich wnioski zarówno dla rynku pracy jak dla systemu edukacji. Trudność polega na tym, że zapotrzebowanie rynku pracy jest aktualne, a system edukacji reaguje z opóźnieniem płynącym z cyklu edukacji.

M.B.: A czy samorząd nie mógłby odgrywać tu roli takiego wizjonera, przewidującego na podstawie bieżących sygnałów z rynku pracy i innych czynników przyszłe potrzeby edukacyjne i stymulować zmiany w programach szkół?

R.D.: Mógłby zapewne, ale tu występuje dużo poważniejszy problem. Każdy laik wie, że w najbliższej przyszłości będziemy potrzebowali informatyków, tymczasem jakby przeszedź tematykę doktoratów na uczelniach technicznych w Polsce, to 50% dotyczy górnictwa (mogę się mylić co do dokładnej liczby). A w ogóle nasz system edukacyjny, o czym piszę w książce, nabrał przechyłu humanistycznego. To jest tendencja ogólnoswiatowa; odchodzi się od techniki w kierunku teatru, tańca, śpiewu i dziedzin humanistycznych. Ta światowa tendencja spotkała się z silnym okresem rozwoju cywilizacyjnego Polski. Akurat teraz się buduje drogi, rozwija infrastrukturę techniczną – teraz techniczne wykształcenie by się nam przydało. Nawet młodzieżowe domy kultury przekształciły się z „modelarni” w „kółka teatralne”. Nie jestem przeciwnikiem kółek teatralnych, pokazują jedynie tendencję. Te kwestie na poziomie samorządów można trochę korygować.

M.B.: Na zakończenie mam jeszcze jedno pytanie związane z samorządem. Jak pan ocenia

szanse uchwalenia i wejścia w życie ustawy o metropoliach?

R.D.: Zero. Ta ustawa nie ma szans. To jest głębszy problem, z dwóch powodów niezwykle ważny. Metropolie są faktem – dla ludzi mieszkających pod Wrocławiem i dojeżdżających codziennie do pracy i szkoły metropolia czy aglomeracja jest faktem. Ja używam następującej terminologii. Miasto z wianuszkami miejscowości dookoła to jest aglomeracja, a jeszcze większy twór – to jest metropolia. Potrzeba utworzenia metropolii w sensie ustrojowym jest ważna po pierwsze dlatego, że rzeczywistość istniejąca wymaga usankcjonowania. Zarządzanie edukacją, planowaniem przestrzennym powinno mieć charakter metropolitalny. To jest powód **funkcjonalny**. Finanse polskich gmin są tak skonstruowane, że 75% kosztów to są wydatki bieżące (utrzymanie szkół, teatrów, zamykanie ulic), a 25% przeznaczają się na rozwój (inwestycje). Na obszarze metropolitalnym musi powstać twór, który poza tym znaczeniem funkcjonalnym ma odwrócone proporcje kosztów – tzn. 25% wydaje na bieżące wydatki, a 75% przeznaczają na inwestycje, na rozwój. To jest powód **pragmatyczny**

dla usankcjonowania metropolii. Dopiero utworzenie podmiotu z taką proporcją własnych funduszy na większym obszarze (np. dawnego województwa wrocławskiego) daje poważny impuls rozwojowy. Tylko wtedy powstaną dobre sieci dróg i kolej metropolitalna. Rozwiąże się wiele problemów cywilizacyjnych. Tak to zrobili Amerykanie. Wracając do odpowiedzi na pytanie, nie sądzę, by rząd rozumiał tę potrzebę i nie sądzę, by był w stanie doprowadzić do uchwalenia właściwej ustawy metropolitalnej. Ustawa aglomeracyjna, którą uchwalono, naprawdę nie była przemyślana przez rząd pod podobnym kątem i wydaje się, że została uchwalona jako taki prezent dla samorządów. Pierwsza wersja projektu tej ustawy napisana przez Michała Kuleszę była za słaba, ale jeszcze coś niecoś regulowała, a kolejne wersje, zapewne z powodu sporu między PO i PSL były coraz bardziej okrajane. W ostatecznej wersji jest zbędną regulacją doprowadzającą do braku wyobraźni rządu.

Rozmowa odbyła się 17 czerwca 2009 r. we wrocławskim Ratuszu.